



SZAWEL PŁÓCIENNIK

Gdzie światłocień rozpruty

(FRAGMENTY)

1

Purpurowe fale poczęły wlewać się w zakamarki cegieł. Światło próbowało tchnąć życie w beznadziejną noc, którą, jak trupa, pragnąłem zostawić za sobą. On jednak wciąż leżał mi na ramieniu, jak ten linoskoczek, którego Zaratustra włożył na plecach, nim go pochował. Każda noc stawała się pretekstem naszego pożegnania. Moja pretensja jednak coraz rzadziej spotykała się z przychylnością kamienicy przy ulicy Waliców, w której miałem pracownię. *Nie jestem łóżkiem, tylko twoją trumną.* Gdyby mury mogły mówić, tak właśnie by teraz do mnie przemówiły. Dom, w którym mieszkałem, był ostatnim niewyłączonym z użytku obiektem na tej ulicy. Stara, przedwojenna architektura, o niezabliźnionych jeszcze śladach kul z powstania. Układ okien wychodzących na podwórko nasuwał mi skojarzenie z panoptikonem, więzieniem, którego rozkład cel powodował, że osadzeni – będąc obserwowanymi przez strażników – nie wiedzieli o tym, że są pod ciągłym dozorem. Cała konstrukcja budowli podtrzymywana była przez żeliwne wsporniki, co

sprawiło wrażenie jakbyśmy mieli do czynienia z industrialnym pająkiem załamującym się nad przemykającymi na dole ludźmi. Był tu, na rogu ulicy Pereca, lokal disco, który nazywał się „Sześćdziesiątka”. Wpadała tu bogata młodzież, kilka razy dostali po mordzie od „lokalsów”, więc właściciel modnego klubu musiał się z nimi ułożyć. Wybudował dla miejscowych „kawiarenkę” naprzeciwko swego dekadentckiego przybytku. Ludzie jednak dalej dostawali po mordzie. Innym razem wybuchł warzywniak. Znalazłem wtedy włoszczyznę na posadzce mego tarasu. Dobrze się złożyło, bo akurat była to jedna z tych sobót po piątku, gdy rosół smakuje najlepiej.

Zatrzasnąłem drzwi balkonowe, wydmuchując ostatni haust papierosowego dymu już wewnątrz pokoju. Zawsze tak robiłem, chcąc poczuć ten dziwny dysonans skażonego powietrza. Narażałem się w ten sposób pasażerom miejskich autobusów i tramwajów. Ilekroć częstowałem ich skrawkiem tej drobnej niegrzeczności, kręcili głowami z taką zawziętością, jak gdyby miały im te głowy

zaraz odpaść. Na szczęście tutaj z niesmakiem spoglądała na mnie jedynie pusta butelka po winie, a jedynych kompanów codziennych dysput – moje płótna – wysłałem akurat na przymusowe wakacje do szafy.

Po pracowni walały się słoiki z rozpuszczalnikami, a także niedojedzone wiktuały, maści przeróżnej. Daję słowo, stężenie zapachów wskrzesiłoby umarłego, a nieroztropne odpalenie kuchenki akurat w tym momencie mogłoby doprowadzić do katastrofy porównywalnej z eksplozją zieleniaka. Pędzlami można by grać w bierki. Otaczał mnie chaos, którego struktury byłem pewien, lecz który postanowiłem porzucić w związku z zaproszeniem na spotkanie w sprawie pracy, które przyszło do mnie wczoraj drogą mailową. Zaproszenie do nie byle jakiej pracy i nie od byle kogo – posada dyrektora artystycznego w galerii prywatnej „Damian Kadziszewski”. Być może w końcu będzie tak, jak mogłoby być. Umówione spotkanie na godzinę 15.00, w galerii. Miałem więc jeszcze trochę czasu, żeby się przygotować.

Wybudziło mnie to niepokojące uczucie, gdy ciało sztywnieje wskutek impulsu elektrycznego. Strzał jak z pejsza, przeszywający ciało skąpane pierwszymi minutami snu. Atawizm pozostawiony nam przez matkę naturę, zabezpieczający nas przed upadkiem podczas drzemki na drzewie. Bardziej jednak niż nagłe spotkanie z ziemią przeraziła mnie godzina wyświetlona na telefonie. 14.35. Szlag. Wybiegłem, zostawiając za sobą uchylone drzwi. Zbiegając po schodach w takt kulawego tańca, usłyszałem przy wyjściu z klatki trzaśnięcie i zaraz potem rumor, dobiegający z mej kanciapki. *Głupie, zazdrosne obrazy, uciekły z szafy* – pomyślałem.

2

Galeria znajdowała się na parterze nowoczesnego biurowca, między wieloma innymi „biznesikami”, pootwieranymi w krótkim czasie w okolicy ronda Daszyńskiego. Spóźniony,

zostałem poproszony o pójście na kawę do jednego z przylegających barów. Okazało się, że przede mną były umówione z panem Damianem jeszcze dwie osoby. Czyli rekrutacja, nie jestem pomazańcem, tylko kandydatem na stanowisko. Mój zapał lekko zbladł. Na kawę nie poszedłem, gdyż mam problem z ciśnieniem i kofeiny nie tykam. Zapaliłem papierosa i spocząłem na słupku parkingowym, oczekując mojej kolejki. Przed wejściem stał ciemnozielony samochód marki Jaguar. Gdy byłem chłystkiem, ilekroć podobna gabłota przejeżdżała gdzieś w zasięgu mój ojciec bił na alarm: *Synu, patrz! Jaguar! Piękny*. Był to widok nietuzinkowy, w dobie maluchów, polonezów i jednoślądów inwalidzkich. Przez witrynę zacząłem oglądać obrazy, które wisiały w galerii.

Romantycznie pokracczne ludziki o nieco przyciężkawych powiekach, poszatowane konturami kształtów, wewnątrz których wymalowane były pejzaże. Podłoża – te były ciekawe, wszystkie prace zrobione na pogiętym papierze, ponabijanym na krosna. Dzieła okazały się być autorstwa artysty moskiewskiego Lwa Powznera, malarza wywodzącego się z ruchu rosyjskich nonkonformistów. Podobały mi się. Zostałem wywołany. Rozmowa nie trwała długo, klasyczna autoprezentacja. Najciekawszy jej fragment nastąpił w momencie, gdy kurator Kadziszewski postawił na stole przede mną fotografię w szklanej ramce i zapytał:

– Gdyby dzisiaj miała odbyć się wystawa autorki tego zdjęcia, bardzo znanej artystki, i nagle okazało by się, że między fotografią a szybą utkwiała mucha, co byś zrobił? Zakładając, że firma ramiarska znajduje się w Poznaniu, jest niedziela, wszystko u nas zamknięte, a rozkładanie obrazka mogłoby spowodować jego uszkodzenie?

Zastanowiłem się chwilę. Odpowiedziałem, że w takiej sytuacji należałoby przekonać gości wernisażu o tym, że tak ma być.

– Na zdjęciu widzę ciało leżące na ziemi, może ono się rozkłada? Może ta mucha musi tam być, by nadać całości bardziej

efemerycznego wymiaru? Być może należałoby do każdego zdjęcia dodać jakąś muchę? Tak, myślę, że to najlepsze wyjście. Wystawa okazałaby się jeszcze większym sukcesem. Widz musiałby poddać się temu okrucieństwu, jak w *Psie andaluzyjskim*, gdzie żyłką przecinane jest oko – by pobudzić, zastraszyć, podniecić! Z drugiej strony już dawno przestaliśmy z tych wszystkich perwersji czerpać radość, zgorzenie, podniecenie czy smutek. Właściwie przestaliśmy odczuwać. Prerażenie nie współistnieje z podnieceniem, ale z obojętnością. Obraz widziany istnieje w odseparowaniu od emocji. Estetyka umarła, niech więc mucha dopełni dzieła i udźwignie marność tego zdjęcia! Cóż za wspańska eksplikacja Bataille’owskiego terminu „Informe” wyrażającego właśnie tę bezkształtność i stan dziwnego niepokoju, który dotyka nas w powierzchownym odbiorze rzeczywistości.

– Przesyłka konduktorska.

– Słucham?

– Najlepiej w tej sytuacji sprawdziłaby się przesyłka konduktorska. Wysyłasz pociągiem do Poznania i towar wraca do ciebie tego samego dnia.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

3

– Nie możemy jak potulne baranki godzić się na zło! Bycie artystą nie zwalnia nas z obowiązku zabierania głosu w sprawach społecznie ważnych – pieklił się niepotrzebnie Maurycy, gdyż podzielałem akurat w tej kwestii jego zdanie. „Mao” (taki pseudonim nadałem mu sam) był moim kolegą z pracowni malarskiej, wciąż studiował na ASP. To chyba takich nazywa się „wiecznymi studentami”. Miał zdeklarowane poglądy, za co akurat go lubiłem. Jednocześnie irytował mnie populizm, którym kokietował publiczność, gdy szło mówić o sprawach ważnych dla artysty.

Otworzył niedawno autorską Galerię KGB, mieszczącą się u niego w kawalerce, w bloku

przy ulicy Jana Pawła II, której nazwę z uporem przekręcał na Marchlewskiego. Nieduża przestrzeń w całości była podporządkowana marszrucie wystaw, na które „Mao” zapraszał pół miasta. Miał dościa i kontakty – widywało się u niego ważnych krytyków i kuratorów. W galerii prezentował głównie swoje prace i od czasu do czasu przychylnych mu towarzyszy i towarzyszek. Żył skromnie, jak przystało na idealistę, chociaż bywały w tym nieskazitelnym wizerunku pewne niejasności. Miał jeden wymięty materac, kilka najpotrzebniejszych rzeczy w małej szafeczce, którą zawsze zamykał na klucz, i psa. Jamnika o imieniu Che, którego ubierał w kolorowe sweterki, czapeczki i tym podobne gadzety. Po spotkaniu w galerii u pana Kadziszewskiego zapragnąłem impulsu, który przywróciłby mnie stęchłemu życiu, pełnej niedociągnięć manierze mojego przyjaciela. Zaszedłem do „Mao”, gdzie odnalazłem ten cudowny margines błędu i już od ponad godziny roztrząsaliliśmy w trójkę kwestie, które wyraźnie nie pochłaniały uwagi jednego z nas.

– Zgadzam się z tobą, że należy takowe sprawy w sztuce podnosić. Jednak jeżeli nie jest to wynik twojej gorliwej potrzeby, lecz jedynie wyrachowane działanie, którego dokonuje się z myślą o zabezpieczeniu interesów własnej marniutkiej sztuki, jest to szkodliwe. Przecież nie jesteś aktywistą dla rozgłosu? Nie walczy się ze złem dla siebie, tylko dla innych. A przecież sztuka jest narzędziem własnej prawdy – zabrałem głos.

– Czyli co, *nie bronić się, nie złorzeczyć, nie czynić odpowiedzialnym. Nie przeciwstawiać się złu, kochać je?*¹ – zapytał, cytując *Antychrysta* Maurycy.

– A żebyś wiedział, że trzeba je kochać – odparłem.

– No, to teraz, kolego, mi zaimponowałeś – zadrwił „Mao”. – Zobacz, mamy koniec lutego, a tu nawet krztyna śniegu nie spadła. Pierwszy

1 F. Nietzsche, *Antychryst, Vis-à-Vis Etiuda*, Kraków, 2018.

raz w historii! Latem dowali nam ze 40 stopni. Lodowce się kruszą, wody wzbierają... Tylko jest jeszcze coś – pod tym lodem uwalnia się metan, który ma wielokrotnie większą szkodliwość od dwutlenku węgla. Stary, jesteśmy świadkami upadku cywilizacji, a na *martwej planecie nie będzie sztuki*. Więc powiedz, chcesz kochać zło, gdy wizja katastrofy ekologicznej jest bliższa niż kiedykolwiek? – zagrział mój rozmówca w tonie, który jest obecnie bardzo mocno uwypuklany w działaniu wielu młodych artystów i artystek, i myślę, że to dobrze. Jednocześnie jest coś podniecającego w fantazjowaniu o martwym człowieku i o martwej ziemi. Kto faktycznie wtedy by tworzył sztukę i o czym by ona była?

– Być może jest potrzebne to całe przeciążenie – rzekłem – dla nowego rozdania? Byłoby nas mniej. Nowe idee, świeże koncepcje, absolutna redefinicja wszystkiego. Żegnaj, Internecie! Żegnaj, ASP! Nowy człowiek. Same plusy. Niechaj zdechnie w końcu człowiek nowoczesny! Należy mu się za to wszystko, czego dokonał.

„Mao” posmutniał, jak gdyby tracąc siły do dalszej dyskusji.

– Nie mów „zdechnie” przy Che. Nie mówilibyś tak, gdybyś doświadczył biedy w równym stopniu, co najubożsi i najbardziej potrzebujący. Opowiadasz mi tu jakieś romantyzujące i nikomu niepotrzebne brednie.

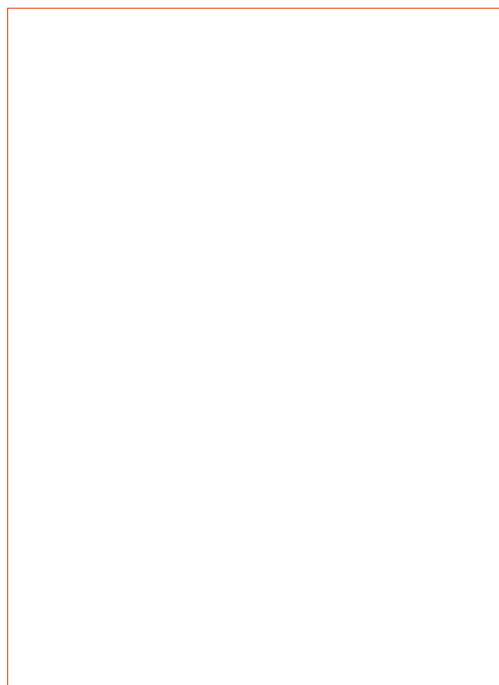
– Być może czynienie dobra innym bądź wciąganie na afisz działań twórczych haseł aktywistycznych jest dokarmianiem własnego sumienia, troską jedynie o własne narcystyczne ego. A to jest dopiero brednia. Jako artysta muszę pozostać centralnym odniesieniem wszystkiego, co mnie otacza. W przeciwnym razie stracę wyjątkowość własnego głosu. Żebym o czymś malował, musi mnie to dotknąć, dosłownie ugryźć w palec!

– Gadasz, jak ci wszyscy wieszcz, którzy się zestarzelili i już nikomu nie są potrzebni – kontratakował Maurycy. – Artysta cierpiący, głodny, nieszczęśliwy i najlepiej martwy – zaśmiał się. W tym momencie poczułem, że coś

w tym jest i nieco zabolęła mnie uwaga kolegi. Zamilkłem. Staliśmy przy otwartym oknie, kopiąc papierosy i popijając ja – piwo z puszki, a „Mao” jakąś drogą whisky ze szklanki. Che rozbudzony ciszą zaszczekał w kierunku właściciela. Pies miał na sobie biały dziergany sweterek. Za oknem kłóciły się klaksony. Noc była zdecydowanie za ciepła jak na tę porę roku. Szklany mur wieżowca naprzeciwko kawalerki „Mao” dogorywał tłącymi się ostatkiem sił iluminacjami.

– Ciszej psie, sąsiadów obudzisz – powiedział Maurycy i udał się na stronę. Pożegnałem się z Maurycym. Było już późno. Czarne sukno nocy kładło do snu najbardziej opornych. Bezdomni domykali okienka powiek, psy skowytały zamknięte w ciasnych twierdzach swych panów, a ulice zamarły jakby w przeczuciu wielkiej katastrofy. ¶

**NAPISZ NA
SZ.PLOCIENNIK@GMAIL.COM
I UZYSKAJ DOSTĘP
DO CAŁEGO OPOWIADANIA**



→ SZAWEL
PŁÓCIENNIK,
KAROL M
ŁAMANE NA
KAROL W



→ SZAWEL PŁÓCIENNIK,
KAIN I ABEL

